

## MICHALINA TERESA MIGRYT

ur. 1932; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Lublin, II wojna światowa, Niemcy, okupacja niemiecka, szpital niemiecki, szkoła przy ulicy Bychawskiej, rodzice, matka, ojciec, pomoc rodzicom

### Praca w niemieckim szpitalu w czasie II wojny światowej

W czasie okupacji, już jak wojna wybuchła, to Niemcy zajęli tę szkołę [w której mieszkaliśmy] na wojskowy szpital. Prosto z frontu przywozili transporty rannych Niemców i my żeśmy musieli wszyscy pracować. Tatuś musiał palić w piecach, jeszcze dodatkowo takie były wybudowane piece do parowania ubrań, [to] moi bracia i tatuś musiał to wszystko obsługiwać, bo tam była wybudowana taka łaźnia. Szkoła tego nie budowała, tylko już Niemcy szybko to zrobili. Jeżeli coś Niemcy chcieli, to i ja musiałam czy pomóc mamie, czy coś, to nie było tłumaczenia, że [nauka w szkole]. Mama gotowała, szykowała, [kiedy] miał przyjechać transport. [Jeśli] transport nie przyjechał, to wszystko trzeba było zlikwidować, bo Niemcy nie odgrzewali. Tyle moi rodzice mogli zrobić, że po prostu był taki główny szef tego szpitala z rodziny trochę polskiej, on tak trochę przez palce patrzył, no to mamusia brała [pakowała jedzenie] w czyste kubeczki i po prostu sąsiadom obok dawała, co tam mieszkali [w kamienicach]. Resztę to się wylewało. Nieraz mama szła spać, [a] miał transport przyjechać w nocy, [to] przychodził do drzwi, pukał, trzeba było wstawać i iść palić, gotować, szykować. Można powiedzieć, że moi rodzice to tak jakby i w obozie byli. Nie brakowało nam chleba, ale i pracy nam nie brakowało, tak że całe dzieciństwo, przeżyłam w takim obozie pod ręką Niemców. Myśmy nie pomagali Niemcom, tylko myśmy pracowali u Niemców. Innego wyjścia nie było, bo jak mama nie chciała wstać w nocy, no to pokazywali [jej] Majdanek: „Albo pracujesz, albo pójdziesz na Majdanek.”, a jak człowiek pracował, no to nie mieli nic. [W szpitalu] tylko Niemcy pracowali, jak musieli, to sprowadzali ze szpitala jakichś polskich lekarzy, ale raczej wszystko oni sami robili. Oni wtenczas mieli dwa szpitale zajęte, na Alejach Racławickich, co obecny jest wojskowy szpital i tą szkołę właśnie na Bychawskiej. Było dużo [pacjentów], bo to jeżeli był ranny, to już leżał dotąd aż wyzdrowiał. [Pacjenci to] tylko byli żołnierze i ci zdrowi żołnierze [pomagali] im.

Z Majdanku często przyprowadzali tych więźniów, [a] wkoło szkoły to było pełno

trawy i pełno tego chwastu, taka łoboda – to podobne do szpinaku – i więźniowie to rwali do jedzenia. Raz wzięłam chleb i weszłam tam do tej łaźni i przez okno rzuciłam chleb, [a]okno szybko zamknęłam. Niemiec, [zauważył] że dziecko i po szkole zaczął szukać. Uciekłam zaraz do tego domku, gdzie myśmy mieszkali, ale tak jak mówię, że ten Niemiec trochę był z Polaków, polskiej krwi i on później tatusia zawołał i mówi tak: „Pilnuj ty swoją tą córkę, niech ona takich rzeczy nie robi.”, bo on się domyślał, kto to zrobił.

Warta była przy bramie, obcy nikt nie mógł wejść. Już wtenczas jeżeli ktoś by chciał, to tylko tak: moja siostra mogła wejść, bo ją znali, z dziećmi, a tak ze znajomych to nikt, chyba że ktoś z mamą. Do kościoła, owszem, można było wyjść, tylko trzeba było powiedzieć. Jak myśmy gdzieś wychodzili, to tylko trzeba było powiedzieć, że nie ma nikogo w domu i my wychodzimy. Nigdzie się nie chodziło w czasie okupacji, tylko albo do siostry, bo mieszkała tam na działkach niedaleko, albo do kościoła i zresztą nawet nie było czasu na to, bo jeżeli miał transport przyjechać, jeżeli miało coś się dziać, no to trzeba było być na usługi, wtenczas wszystko na baczność. Wpuścić nikogo nie wpuścili, tylko najwyżej wartownik zawołał nas czy to znajomy, czy ktoś z rodziny, a tak to nie. Jak mogłam wyjść, poszłam sobie do koleżanek, poleciałam obok na Krańcową, tam młyn był i zaraz obok kamienica była, to tam koleżanki miałam ze szkoły.

Nieraz tatuś narzekał, bo był ranny przecież w [19]14 roku na wojnie, o lasce chodził, ta noga go bolała, to nieraz [mówił] tak: „O, Boże, już nie mam siły.”, no to tam któryś odpowiedział tatusiowi: „Boga nie ma, tylko Hitler rządzi.”, a tatuś pokiwał głową i poszedł, bo co miał mówić. Później już, jak pod koniec, to już było widać, że przegrywają, bo tak już i jedzenie było gorsze, i nawet ten szef mówi tak: „Nie ma Boga, bo pan Bóg jest na urlopie, a Hitler rządzi”, a już jak mniej tych rannych przywozili i już tak było widać, [że koniec], to tatuś jemu odpowiedział: „A kiedyś pan Bóg z urlopu też może wróci.”, no to odpowiedział tatusiowi: „No miałeś rację, Kowalski, bo pan Bóg zaczyna z urlopu wracać, a Hitler chyba pójdzie na urlop.”.

[Niemcy] własną [żywność] samochodami przywozili. Moja mama to nie przynosiła [do domu ich jedzenia], bo my żeśmy normalnie swoje życie prowadzili w domu, starsze rodzeństwo gotowało, jak mama nie miała czasu, ale wiem, że tam było dosyć dobre jedzenie. Jak tam był gulasz, to pół na pół z mięsem, ziemniaki, kotlety, owoce. Owoce – to było tak, że jak pomarańcza była i kropka jakaś była maleńka [na niej], to już oni nie jedli tego, to już było do wyrzucenia. Mamusia zabierała to do domu, znajomym się oddawało, bo za okupacji przecież ludzi nie stać było na to, żeby wyrzucić.

Niemcy jako gospodarze to byli bardzo dobrzy. Krzywdy nie zrobili, jeżeli się pracowało i było się im posłusznym, to oni nie zrobili krzywdy, bo pensję moi rodzice dostawali, pomimo że się mieszkało i trzeba było na zawołanie po prostu być u nich. Nie było tego, że godzinę, czy dwie, czy pięć, tylko wtedy, kiedy trzeba było, to trzeba było pracować.

Remontów nie przeprowadzali, ale dbali o to. Baraki były tylko, bo im za ciasno było, to były postawione baraki na placu. Szkoła była jeszcze drewnianym płotem [ogrodzona], ale było bardzo to zadbane, że tam nie było mowy, żeby jakiejś deski brakowało w płocie – musiało być ogrodzone, wszystko zadbane. Myśmy nawet obsadzili ziemniakami, warzywami kawałek tego placu, oni pozwalali, nie bronili, mamusia świnie trzymała.

Nie pamiętam [gdzie grzebali zmarłych], ale oni tak to załatwiali, że nikt nic nie wiedział. Widocznie [gdzieś] wywozili. Była tam duża obsługa i oni takie przejścia mieli właśnie między szpitalem jednym a drugim i bez przerwy te autobusy tam kursowały i wymieniały tych rannych. Tutaj te piece były wystawione i wanna była postawiona, i takie dwa baseny na nogi tylko. Ubrania trzeba było parować, [ponieważ] tam jak z tych rannych zdejmowali [to] nieraz aż gęsto [było] i aż się ruszały te opatrunki od tych wszy. [Dlatego] wszystkie ubranie do tego pieca i tam na jakąś temperaturę, bo pod spodem ogień się palił. [Tam] były wybudowane żelazne drzwi i to tak, jakby szafa – ubrania do tego zamykano, a pod spodem było palone i tym grzaniem właśnie likwidowali te wszy, te wszystkie brudy. [Natomiast] które ubranie było bardzo jakieś oblaźłe albo zabrudzone, to od razu wszystko szło pod te piece, palone było. Po wszystkim było przebierać się, żeby do domu nie nanieść tego brudu.

Moi rodzice nie wchodzili do środka [tej części szpitalnej], tylko mama w kuchni miała wydawany prowiant i z tego miała ugotować to, co oni chcieli. No i pomoc też miała – Niemców – do tego. Ten szef, on umiał po polsku i [wydawał rozkazy rodzicom]. Mój brat jakoś szybko połapał trochę tego niemieckiego i dawał sobie radę, obsługiwał przy tych ubraniach. Każdy numerki dostawał i tak jak do szatni te ubrania były podawane przez okno, brat nie miał nic styczności z Niemcami. Myśmy tak kursowali sobie, a to w kotłowni tam tatusiowi trzeba było pójść pomóc, to się szło, a to do domu, mama to zawsze była zajęta, jak nie w domu, to w kuchni – no to się nie zamykało tego mieszkania.

[Szkoła przetrwała] dzięki mojemu bratu, bo dwa razy podjeżdżali, chcieli miny podłożyć. Tam wszystko zostało, oni mało co pozabierali, koce były tak poskładane w takim pomieszczeniu jak pół mojego pokoju, tak pod sam sufit. [Kiedy] pakowali się już, to tam zaczęli mówić, że do innego szpitala, że gdzie indziej będą teraz urzędować. [Jednak] później, jak już się całkowicie wyprowadzili, to oni podjechali i chcieli miny podłożyć. Brat już umiał trochę tego niemieckiego, więc powiedział, że jeszcze się nie wyprowadzili, jeszcze [inni] Niemcy tu mają przyjechać, bo jeszcze zostały koce, tam im tłumaczył, no i odjechali. Tatuś dał znać do szpitali, przyjechali [i] te koce [inne] szpitale pozabierały.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2011-11-30, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Wioletta Wejman
<b>Redakcja</b>	Weronika Prokopczuk
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"